

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Tęsknota w obczyźnie.

Jak tam u was, matuś, wiosko moja?
Jak tam u was na „kwietnia“, „palmową“?
Czy już wierzby rozpekły z zdroja?
Czy ligawka już gwarzy dąbrową?
Czy już bociek na olchach się ściele?
Jak tam u was na kwietnią niedzielę?

Hej! pewnikiem trzech księży zjechało!
Biją dzwony... i grają organy...
Kuba, Stacho sukmanę wdział białą,
Czapkę z pawiem i pasik kowany!
Pewnie gorset wzorzysty na Kachnie,
Ratuy wianek z wstęgami... aż pachnie!

Pewnie słonko o samym rozdzienku
U Matusów przysiadło na przyzbie...
Stary Matus różaniec ma w rękę,
Matusowa obrządza po izbie,
A Jaguśka przez warkocz pokretny
Kładzie duchem odziewek odświętny!

I u Jantków, u Józów, u Grzeli
Już się naród szykuje i zabiera...
Pewnie drogą od krzyża się bieli
Siwa broda chromego Balcera,
Inne dziady o grosik zawodzą —
„Bracki“ dzwoni i z światłem już chodzą!

A dopieroż w kościele z wotywą!...
Jak te ptaki na wyraj latosi,
Jak tem polem, gdy ma się na żniwo.
Gdy się chlebuś półankiem wykłosi:
Gospodarzy a dziewuch, parobków!
Kiej tych garści na rżysku! kiej snopków!

Luda-ć luda! Jezusie kochany!
Sam jegomość przeciskać się musi!
Organista co zadmie w organy,
To niebawem od paru się krztosi,
I co jaki kawalek odśpiewa,
To aż chustką kraciastą powiewa!

Hej! pewnikiem, gdy nieszpór odprawia,
Gdy się naród namodli, nawzdycha,
To się młodzi przy kramach zabawia,
Starzy w kątku pogwarzają gdzie z cicha
O tem wszystkim, gdzie i jak bywało,
Gdy im samym na wiosnę się miało!

Siedzą sobie przy kuźni do słońca,
Na przygrzewkę rozepną sukmany,
I dalejże wspominać bez końca
One śpiewki z za młoda i tany
Oną dawną na wszystko ochotę,
I poglądać na słonko, na złote.

.....

Hej! żeby tak do wioski-matuli
Na „Zdrowaśkę“, na jedno choć „Wierzę“
Iść, wysłuchać z pod zgrzebnej koszuli,
Jakie w piersiach kłękają pacierze —
Wziąć i roznieść fujarką pastuszą...
Toby palmy wykwitły pod duszą!

El.

Z życia Jasia.

(Ciąg dalszy.)

— Zapewne, że tak uczynię — odparł po chwilowym namyśle pan Kaliński — chociaż ja dopłyne pewnie tylko do Genui, mam bowiem zamiar zboczyć jeszcze do Meranu, gdzie znajduje się na kuracyi kilka dobrze znanych mi osób.

Zawrócili do hotelu na obiad. Jaś zdziwił się bardzo, a nawet zasmucił, dowiedziawszy się, że zamiast do Wiednia, a ztamtąd do Warszawy, jadą do Marsylii.

— Ja myślałem, że już wracamy do babci — szepnął i lzy zabłysły w jego oczach.

Pan Kaliński starał się go uspokoić, mówiąc, że ta podróż niewielką w ich powrocie stanowić będzie zwłokę i że na gwiazdkę z pewnością będą już razem u dziadków.

Twarzyśka Jasia rozjaśniła się, zmartwienie ustąpiło miejsca nadziei, i chłopczyk z apetytem zjadł obiad; następnie zaś przypomniał swemu opiekunowi obietnicę pójścia do fabryki Lloyda. Kapitan ofiarował się im także towarzyszyć.

Jakkolwiek Jasio za poprzednią swą bytnością w Tryeście zwiedzał już fabrykę budowy okrętów, jednak zawsze z ciekawością przypatrywał się tym olbrzymim pracom.

Gdy znajomi nasi przyszli na wybrzeże morskie, właśnie „dok“ napelniono wodą, aby wprowadzić doń wielki, mocno uszkodzony okręt. Usunięto zaporę i olbrzym, sapiąc i gwiżdżąc, wpłynął do przystani. Wtedy zaczęto przez szluzę spuszczać wodę, i wróćce osiadł na kamienistym dnie przystani, tak, że robotnicy ze wszystkich stron mieli doń łatwy przystęp.

W dwa dni później pan Kaliński z Jasiem pożegnali Tryest, kierując się do Genui, a z tego miasta do Meranu.

XXVIII.

Z Genui pan Kaliński zboczył do Meranu w celu odwiedzenia pana Wodnickiego, którego zastali już o wiele zdrowszym i silniejszym. Czyste powietrze Meranu i kuracya winogronowa oddziaływały na niego zbawiennie.

Jaś był zachwycony pięknoscią położenia tego miejsca kuracyjnego. Meran znajduje się w Tyrolu i zbudowany jest u stóp góry Kucheberg; wzniesiony na 1200 stóp nad poziomem morza, bywa licznie zwiedzany przez osoby osłabione lub cierpiące na choroby płucne.

Na drugi dzień po przyjeździe pan Kaliński z Jasiem, w towarzystwie pana Wodnickiego, wyszli zrana na przechadzkę. Droga wiodła najpierw przez miasteczko, wśród zabudowań i hoteli, dalej zaś biegła w głąb doliny. Wiązy i

kasztany rzucały miły cień, na kamienistym dnie wąwozu szumiała rzeka Passera; tu już mniej było spacerujących i Jaś mógł się swobodniej przypatrywać pięknemu widokowi. Z jednej strony wznosiła się wysoka i dość stroma góra, a podnóża jej i na łagodniejszych spadkach pobudowano wille. Białe ściany, balkony i wieżyczki wychylały się z pośród zieleni drzew, bluszczów i powojów. Wreszcie droga dobiegała do podnóża góry i kończyła się żelazną balustradą. Zdala już dochodził ztamtąd łoskot i szum wody. Gdy doszli do balustrady i spojrzeli w głąb wąwozu, wspaniały widok przedstawił się ich oczom. Spienione wody Passery wpadały z szumem w przepaść, w głęboki wąwóz ściśnięty stromymi ścianami nagich niedostępnych skał.

— Ten spadek wód nazywają Schlucht — rzekł pan Wodnicki głośno, gdyż z powodu nadzwyczajnego szumu wód, rozbijających się o skały, rozmowa zwykła była tutaj niemożliwa.

Stali tak długą chwilę zapatrzeni w bystre nurty rzeki, wreszcie pan Wodnicki rzekł, że czas wracać na śniadanie i że jego towarzysze muszą być porządnie głodni.

— Rzeczywiście przechadzka zaostrzyła nam apetyt — odpowiedział pan Kaliński.

Jasiowi także głód dokuczał, zawrócili więc do hotelu na śniadanie, układając na jutro projekt dalekiej wycieczki w góry.

— Dzisiaj zwiedzimy tylko to, co godne jest widzenia w pobliżu — mówił pan Wodnicki podczas śniadania. — Trzeba zaoszczędzić siły na jutrzejszą wycieczkę.

Pan Kaliński uznał słuszność tej uwagi, przesiedzieli więc upał na werendzie hotelowej, a przed wieczorem poszli posłuchać muzyki.

Gdy o zachodzie słońca wracali do hotelu, horyzont zaciemnił się nagle i duże krople deszczu spadły na ziemię.

— Będziemy mieli jutro śliczną pogodę — rzekł pan Wodnicki. — Nie będzie ani żdźbła karzu.

Wszyscy trzej wcześniej udali się na spoczynek, i wkrótce Jasio zasnął snem smacznym i spokojnym.

Nazajutrz wyprawa do górzystej miejscowości zwanej Winkelweg, udała się doskonale, pogoda była prześliczna, upał nie dokuczał. Podróżni nasi wprawdzie zmęczeni się wdzieraniem pod górę, ale czarowny widok, jaki się ztamtąd rozciągał przed nimi, wynagrodził im poniesione trudności. Nie zabawili jednak do wieczora z obawy, aby ich nie spotkała znów jaka inna niemiła przygoda.

Pan Wodnicki żegnał się z żalem z nowymi swoimi znajomymi. Obydwaj panowie obiecali nawzajem odwiedzać się, skoro powrócą do kraju.

— Jedziemy już teraz prosto do Marsylii? — powiedział pan Kaliński do Jasia.

— Po co my tam jedziemy, proszę pana? — zapytał nieśmiało chłopczyk. Ja myślałem że już do babuni wracamy.

— Już i do babuni wkrótce zawitamy — odpowiedział pan Kaliński — wszak ci obiecałem, że święta Bożego Narodzenia spędzimy już w kraju. A do Marsylii jedziemy dla tego, że mam tam insteresa.

Jasio nie śmiał wypytywać dłużej swego opiekuna, tylko na twarzy jego odmalował się smutek.

— No, no, nie smuć się! — rzekł pan Kaliński — parę tygodni minie bardzo prędko.

I wyglądając oknem wagonu, wskazywał Jasiowi ładniejsze widoki, które przesuwały się przed ich oczami.

Podróż do Marsylii była męcząca, gdyż trwała dosyć długo, a pan Kaliński nie chciał się już zatrzymywać nigdzie.

Przybywszy do miasta, kazał się zawieźć do hotelu, w którym już mieszkał za poprzednią swą bytnością w Marsylii i zaraz napisał bilecik do kapitana.

Kapitan wkrótce przybył i na zapytanie pana Kalińskiego, czy są jakie wiadomości, powiedział, że jeszcze nic a nic nie znalazł w gazetach. Widocznie ta odpowiedź zmartwiła pana Kalińskiego, bo westchnął i szepnął:

— Ach, Boże, kiedy się skończy ta niepewność?

Ale kapitan nie dał mu się długo smuć, gdyż zaraz zaczął opowiadać, że jutro wieczorem zabierze pana Kalińskiego i Jasia na wielką uroczystość, jaka się miała odbyć w porcie. Jakiś klub wioślarski wyprawiał zabawę na okręcie, który miał być oświetlony różnokolorowymi lampami.

— Łodzie mają być także przystrojone i oświetlone, a na zakończenie spalone zostaną wspaniałe fajerwerki — dokończył kapitan.

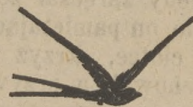
Jasio ucieszył się niezmiernie w nadziei tej zabawy i niecierpliwie wyglądał jutrzejszego wieczoru. Nadeszła wreszcie upragniona chwila.

O zmroku przyszedł kapitan i udali się wszyscy trzej na wybrzeże, gdzie już mieli zamówione trzy miejsca na wzniesieniu, to jest na tak zwanej trybunie.

Jasio aż krzyknął z podziwu, ujrawszy czarodziejski widok, o jakim nie miał dotąd żadnego wyobrażenia. Wielki okręt zdawał się płonąć mnóstwem kolorowych świateł, które wszystkie maszty były przystrojone. Światła odbijały się w wodzie, tworząc długie, drżące smugi na falach. Przybrane lampami i kwiatami łodzie, krążyły tłumnie w pobliżu. Na pokładzie okrętu przegrywała orkiestra.

Jaś był zachwycony tym widokiem, zachwyt jego spotęgował się jeszcze, gdy zaczęto palić ognie sztuczne, to jest fajerwerki. Całe snopy świecące strzelały w górę i rozsypywały się milionami iskieł, powierzchnia morza także rozświecała się rozmaitemi barwami; potem na chwilę zalegała ciemność, aż dopóki nowy fajerwerk świetnym nie sjaśniał blaskiem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Bojaźliwość uleczona.

Zdarzenie prawdziwe.

(Dokończenie.)

Ach! znam to dobrze, przerwał Kazio, i tak ciocia dobra, że nie wypędzi od siebie takiego chłopca, który ją co noc budzi... ale cóż kiedy ja inaczej nie mogę. I to mówiąc biedny Kazio płakać zaczął. — Poczekajże, moje dziecko, rzekła dobra ciotka obcierając mu oczy, dam ci opiekuna i stróża, który nie oddali się od twojego łóżeczka; a lepszy od wszystkich piastunek, chociaż ty usniesz, czuwać nad tobą nie przestanie. — Ach czy doprawdy? zawołał chłopczyk z radością. — Tak, nie inaczej. Wszak, wiesz, dobrze że jest Bóg, który świat cały, i wszystkich ludzi stworzył, który się najmniejszym dziecięciem opiekuje? — Wiem, ciociu, i bardzo Boga kocham. — Wszak wiesz także, że Bóg we dnie i w nocy widzi? Wiem. — A no! będziesz zawsze miał tego Stróża przy sobie. — I to mówiąc zdjęła z nad łóżka swego piękny krzyż hebanowy z złotym wizerunkiem Zbawiciela. — O to jest, rzekła dalej, obraz tego Boga wszechmocnego i dobrego, który zawsze nad wszystkimi ludźmi czuwa. Z jego obroną nie ci się złego nie stanie i spać będziesz mógł bezpiecznie. Wieszam go u galeryjki twego łóżeczka. On cię strzedz i pilnować będzie! Uradowany Kazio uspokoił się, i przez kilka godzin spał ciągle.

Następującej nocy już ani razu ciotki nie obudził; wysłuchiwała go tylko i wypatrzyła jak całował krzyż i mówił: O Boże nie boję się przy Tobie. Kładąc się zawsze z tą myślą, że czuwa nad nim Bóg dobry, i jest koło niego, Kazio spał spokojnie i wkrótce przyszło do tego, że się już ani bał, ani budził. Z wiekiem przyszedł mu rozsądek, przekonała go ciotka, przy której wdzięczny ojciec zostawił go od lat dwunastu,

iz niema na świecie strachów i upiorów, a od złych ludzi i wszelkiego przypadku Bóg broni we dnie i w nocy tych, którzy go kochają. Później zdjęła ciotka i wizerunek Zbawiciela zawieszony na łóżku, gdy go nauczyła, że Bóg, lubo niewidzialny, jest wszędzie i na każdym miejscu. Przejęty tą myślą, odważnym nawet i śmiałym został. Jak dorósł, poszedł do wojska, i mężstwem i walecznością swoją dodał nowego blasku imieniu polaka. Widząc odwagę jego, nikt mu wierzyć nie chciał, kiedy zaręczał że bojaźliwym był w dzieciństwie; ale on pamiętając na błąd dawny, wdzięczny Bogu i ciotce, krzyż hebanowy jako skarb najdroższy chował, a przywiązanie dla do brej ciotki na zawsze w sercu swoim umieścił.



Cukier ważony.

Mali przyjaciele
Zawsze się sprzeczały,
Bo im się zdawało,
Kiedy co dostali,
Że jeden zamało
Drugi ma zawiele.

Gdy raz im przy kawie
Ciocia cukra dała
Dwa równe kawały,
Znów rzecz tak się stała:
Ze jeden był mały,
Drugi wielki prawie.

Ciocia przynieść każe
Sobie ważki małe
I kładzie na szali
Dwa kawałki całe.
„Równoście dostali,
Jednak cukier zważę.“

Szalki się zachwiały:
Jedna się podnosi
Druga troszkę spada;
Ciocia cukier znosi,
Ujmaje, dokłada,
Zeby równo stały.

Stały nareszcie.
Ale też chłopaczki,
Wstydząc się już tego,

Nie chcą, piekąc rączki,
Cukru ważonego.
Ciocia mówi: bierzcie

Nie — ciotuniu droga!
Mówiłaś nam przecież:
Kto bliźnim zazdrości
Czegokolwiek w świecie
Ten nie ma miłości
I obraża Boga.



ŁAMIGŁÓWKI,

I.

Moje trzecie
Na nogach waszych znajdziecie.
Pierwsze i drugie drzewa okrywają,
A dębowych garbarze używają;
Całość oznacza króla polskiego
Niedoleżnego nieszczęśliwego.

II.

Jestem sławna w całym świecie,
Wiele dźwigam na swym grzbiecie:
Drzewo, zboże, polskie zboże,
Co to idzie het za morze.
Nieraz byłam krwią zbraczoną,
Z dzieci polskich wytoczoną.
Miasta, wioski, gaje, bory,
I kościoły, piękne dwory,
Wszystko widzę w mym pochodzie.

Rozwiązanie łamigłówek z nr. 14.

I.

Ko — per — nik.

II.

A n n a.

Dobre rozwiązanie łamigłówek z nr. 13 Anioła Stróża nadesłali A. F. i P. Gołębiewski z Morawów.

